

**KS. MARIAN MORAWSKI SI**  
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE

# **"WYZNANIA" LIBERAŁA**



KRAKÓW 2020

[www.ultramontes.pl](http://www.ultramontes.pl)



# "Wyznania" liberała <sup>(1)</sup>

Ks. MARIAN MORAWSKI SI

PROFESOR UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE

---

Nieźródne są *Wyznania* św. Augustyna, bo w nich wielka dusza przelewa się z niezrównaną prostotą i podniosłością. Zajmującymi są i nowsze dzieła w tym rodzaju, bo mieszczą zwykle cenny materiał etyczny i psychologiczny w żywej formie. Ale jakżeż ciekawą by była księga wyznań liberała, i to liberała naszego chowu, galicyjskiego – na dobitkę gazeciarza? W takiej książce, byle szczerze napisanej, jakie by się mogły znaleźć klejnoty rzeczy nie tylko ciekawych, ale prawdziwie pouczających, wyświecających tę "narodową psychologię", o której dziś tyle mówią, rozwiązujący różne zagadki dotąd dla wielu niepojęte! Otóż taką książką obdarzyła nas nasza szczęśliwa gwiazda, taką książką są "Listy do przyjaciela" przez Ludwika Masłowskiego, byłego redaktora *Kuriera lwowskiego*, tłumacza Darwina itd.

Świętego Pawła na drodze do Damaszku powalił głos z góry. Pan Masłowski jechał także na *Kurierze lwowskim* w podobnym kierunku i z podobną jak Szaweł szczerością, kiedy również został powalony. Nie przemówił jednak do niego głos z góry, o ile z jego książki wnosić można; nie oświeciła go wiara; od przekonań katolickich jest on w gruncie rzeczy tak dalekim, jak był przedtem; ale uderzył go jakiś grom z dołu. Refleksja, doświadczenie, zetknięcie się *corps à corps* z błotem, leżącym na dnie tej "sadzawki galicyjskiej", o której tak wybornie pisze, zastanowiło go, przekonało go doraźnie, że jest na fałszywej drodze i skłoniło go do szczerego i jawnego odwrótu. Począwszy od 6 marca b. r., zaczął on wydawać w *Kurierze* artykuły wstępne pod tytułem: "Listy do przyjaciela", w których swój odwrót opisywał i klikę, od której się odłączał, wybornie charakteryzował. Po piątym liście już im było tego za wiele – wysadzili z redakcji tego zdrajcę, wstecznika itd. Lecz on wylał jeszcze w dziesięciu nowych listach wszystko, co miał na duszy, wypowiedział i to, co by w szpaltach dziennika miejsca znaleźć nie mogło, bo, jak dowcipnie powiada: *on ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu* i tak wydał razem piętnaście listów, stanowiących arcyciekawą broszurę, o której mówimy.

Dla rzadkości okazji, pozwolę sobie zdać z niego obszerniejszą sprawę, i nie będę szczędził cytat, bo nie czuję się na siłach równie dosadnie wypowiedzieć tych rzadkich i dotąd nie słyszanych rzeczy.

## I.

W pierwszym liście p. Masłowski tłumacząc, że uczciwy człowiek może zmienić zdanie – na co zgoda bez dyskusji – kreśli wyborny obraz sposobu, jakim u nas wyrasta plemię liberałów: nie na gruncie przekonań, dowodów, doświadczenia, ale... zgoła bez gruntu – z braku gruntu.

"W uniwersytecie, mówi autor, w chwilach wolnych od swych specjalnych studiów, zagląda młody człowiek do dzieł socjalnych i politycznych, a kierując się sympatią swojego wieku, przyswaja sobie wszystkie tezy liberalne, jakie w tych książkach spotyka. Nie bada, czy odpowiadają one potrzebom życia ludzkiego, bo go nie zna i badać tego nie może. Nie zastanawia się, czy społeczeństwo według tych liberalnych formułek zbudowane, zdołałoby osiągnąć cel, który sobie wytyka, tj. najtańszym kosztem uszczęśliwienia największej możebnej ilości ludzi; nie wchodzi w to, czy zwolnienie więzów, krępujących namiętności nie przyczyniłoby się właśnie do rozwinięcia w

ludziach antyspołecznych pierwiastków; bo oczywiście wchodzić w to i badać tego wszystkiego nie może. Kocha liberalizm i gotów walczyć o niego, bo on najlepiej zaspokaja młodą jego fantazję, a najwięcej przyrzeka młodym jego namiętnościom, pragnącym rozkuć kajdany, nałożone przez stare społeczne teorie. Po skończeniu uniwersytetu człowiek taki oddany swej zawodowej pracy, nie ma czasu na socjalne lub polityczne studia; trwa więc dalej w swej admiracji dla liberalnych formułek, aż z biegiem lat w miarę ostygnięcia młodzieńczych zapałów poczyna w nich robić tu i ówdzie szczyby. W owym okresie weź go na indagację, a przekonasz się, że w głowie jego cały chaos przeróżnych twierdzeń i hipotez: znajdziesz tedy umiarkowane, nawet konserwatywne zdania we wszystkich kwestiach praktycznych, o które się w życiu ocierał – będą one rezultatem doświadczenia i umiagodzenia się temperamentu; znajdziesz dalej to, co się nazywa, *les lieux communs*, to jest komunały, wałęsające się po ulicach, które co chwila możesz podnieść z trotuaru i włożyć sobie do głowy; znajdziesz wreszcie cielece zachwyty dla liberalnych reform, ale najniezawodniej w sprawach takich, które o niego nie ocierały się bezpośrednio".

Tak wyrasta i kształci się galicyjski liberał, albo raczej, taka jest podstawa jego zasad: ignorancja. Właściwą zaś szkołą, w której się kształci, w której na tym gruncie gmach swoich teorii buduje, jest prasa codzienna. W dalszym toku autor oceni nam i scharakteryzuje tę prasę jako specjalista, na podstawie autopsji, ale już w 2-gim liście mówi nam naiwnie, jak wstąpiwszy w szranki, z przygotowaniem jak wyżej, wierzył tej prasie, na jej słowo sądził, "że wszystko, co wynosi się ponad szare tło mas społecznych kraju, jest z gruntu zepsute, zdemoralizowane do nieskończoności, przedajne, serwilistyczne, płaskie, uczuć patriotycznych do szczętu pozbawione". – Na wiarę tej prasy "cała Galicja przedstawiała mu się jako wielka sadzawka, cuchnąca i brudna, na całej powierzchni pokryta wszelkiego rodzaju wodorostami; rolę wodorostów grał Sejm i wiedeńskie Koło polskie; urządzić odpływ dla wód tej sadzawki, wydobyć z wnętrza nowe a utajone siły – to było jego marzeniem".

On wierzył tej prasie, to fakt, który warto zapisać. "Na tę rozczyniającą działalność naszej prasy, mówi słusznie autor, nikt u nas dotąd nie zwrócił (dosyć głośno) uwagi. Jedni, z pogardą patrząc na nią, nie czytają jej kalumnij i sądzą, że również nikt inny ich nie czyta; drudzy uważają jej wrzaski za pewien rodzaj bodźca dla osób stojących u steru i chociaż rozumieją jak one są bezpodstawne, mniemają wszakże, że w Wiedniu przynoszą nam korzyść, a w kraju nie obalamużą nikogo; wreszcie inni widzą w tym wybryk swobody

prasowej, więc przez admirację dla tej swobody, znoszą ów wybryk, chociaż się z nim nie solidaryzują. Ale nikt nie przypuszcza, że są całe zastępy ludzi, skądinąd znacznych i rozumnych, którzy z dala stojąc od spraw politycznych, biorą za dobrą monetę wszystko to co opozycyjna prasa pisze; i że nadto są całe szerokie warstwy społeczne, mało wykształcone, dla których każde drukowane słowo ma wartość ewangeliczną".

"Jeżeli ja, mówi jeszcze indziej autor, mogący jako pisarz zaglądać często za kulisy naszych warsztatów prasowych, zostałem tak fatalnie na głównym punkcie w błąd wprowadzony; to cóż dopiero za chaos wyobrażeń i pojęć powstawać musi w głowie czytelnika na prowincji zjadającego co dzień anarchiczną strawę, przyrządzoną przez którąś jedną dziennikarską kuchnię i patrzącego na świat, na jego stosunki i rzeczy, przez okulary tylko tego dziennika! Żal mi zaprawdę tych ludzi, żal mi tych głów nieszczęśliwych, w które co dzień takie potworne wkładane są fałszy, i tych serc biednych, stworzonych do kochania, a karmionych tylko paszkwilem, jadem i nienawiścią".

Po tym jakby wstępie, opisującym genetyczny rozwój galicyjskiego liberała, przychodzi w kilku następnych listach omówienie treści w nim zawartej, czyli, jak mówi autor, "jednego znamienia wspólnego tym ludziom, którzy się we wszystkim innym różnią". Znamieniem tym podług p. Masłowskiego jest anarchizm. Sądzę, że gdyby autor umiał głębiej w rzeczy wniknąć, wykryłby jeszcze niejedną liberałów cechę, równie im wspólną, a więcej jeszcze rdzenną, z której może i anarchizm wyrasta.

Ale poprzestańmy teraz na tej części prawdy, którą autor podnosi. Anarchizm ten, czytamy w 3-im liście, pochodzi stąd, że póki Galicja zostawała pod obcym i nieprzyjaznym rządem, sam patriotyzm podniecał i uniewinniał agitacje uliczne i prasowe przeciwko władzy, do czego skłonność odziedziczyliśmy po przodkach naszych z przeszłego wieku. W czystych intencjach pigułki anarchiczne zadawano pospołu z patriotycznymi. Lecz stosunki się zmieniły.

"Miano u steru kontusz i karabelę – a rzucano w nie tak samo błotem, jak rzucał ongi ulicznik w mundur znienawidzonego kulturträgers. Prasa nasza prześcigała się w poniżaniu powagi Sejmu i Koła polskiego z tym większym zapalem, im mniej ją mogła za to konfiskować prokuratoria rządowa. Na władze zaś centralne, jakkolwiek również polskie, a od Gołuchowskiego czasów ożywione nawet silnym patriotyzmem, pisała to wszystko, co precyzyjnie się mogło pomiędzy paragrafy niedołącznej ustawy prasowej".

"Gawiedź uliczna pierwsza tej anarchicznej pracy poklask dała. Przemawiała ona bowiem do jej gustu, podsyciała jej własne anarchiczne popędy. A zapytasz, co wobec tej tak szalonej, a tak strasznie szkodliwej działalności prasy, robili ludzie poważni, inteligentni, rozumiejący co w społeczeństwie rozwijać, a co tępić należy? – Nic, albo to co robi gawiedź uliczna wobec zbrodniarza, którego chce aresztować policjant: – stawali po stronie prasy".

Autor słusznie się przeraża tym "straszonym znamieniem" anarchizmu. Ale cóż mu przeciwstawia? Oto w 4-ym liście jego idea konserwatyzmu. Wprowadza nas do gliptoteki, uderza wobec nas młotem w piękny posąg, rozbija go na drobne kawałki.... "Szukaj w nich myśli, mówi, czy tej genialnej, którą przed chwilą wyrażał marmur, czy jakiegokolwiek bądź innej, choćby tak płytkiej, jak program tromtadracji. Szukaj! I cóż – nic nie znajdujesz? Milion ziarenek, które masz przed sobą, nic nie wyraża? A przecież ani fizycznie ani chemicznie nie uległy one żadnej zmianie... Dlaczegoż więc w nich żadnej myśli nie dostrzegasz? Oto dlatego, że odjąłeś im to, co do wyrażenia myśli pomagało, pozbawiłeś je spoistości, tej siły, która je skupiała w całość, wyobrażającą piękno. Sprzęgnięte społem tworzyły one dzieło nieśmiertelne; rozbite i rozproszone tworzą kupę pyłu, którą wiatr rozwieje... To samo dzieje się ze społeczeństwem. Ono także jak marmurowy posąg składa się z ziarenek, ludźmi zwanych. Ziarnka te, czyli ludzie, spojeni w jedną całość, tworzą statwę państwową, wyrażającą myśl społeczną. Ale uderz w nią młotem anarchicznych skłonności, a otrzymasz kupę pyłu, którą zmiecie fala dziejowa z powierzchni ziemi".

Nie chciałbym zbyt kłaść nacisku na porównanie, ale porównanie tu użyte, wyraża może głębiej myśl autora, niż sam przypuszcza, dalsza osnowa tych listów nas o tym upewnia. Czemuż, kiedy mowa o społeczeństwie, przychodzi mu na myśl posąg marmurowy, złożony z atomów i spojony martwą, poniekąd zewnętrzną siłą spoistości – a nie organizm złożony z członków i komórek tj. organicznych także całości, wyrastających jedna z drugiej i spojonych tysiącnymi warunkami ruchu i życia? Haller, Taparelli byliby niezawodnie tego drugiego użyli porównania. Otóż wiedzieć trzeba, że dwa są rodzaje konserwatyzmu. Jeden, który szanuje dlatego prawo, władzę, ustrój społeczny, że widzi w tym wykwit z prawa natury, tj. wyrazu myśli i woli Stwórcy, drugi, który wychodzi z zasad Hobbesa i Jana Jakuba Russa, z zasad zwanych zdobyciami r. 1789, państwo wywodzi z woli ogółu, a z państwa wszelkie prawo. W oczach pierwszego państwo wyrasta na korzeniu rodziny,

własności i innych naturalnych związków i hierarchii ludzi; drugi widzi tylko w ludziach atomy równorzędne i siłę spójności państwa, która je kojarzy; co nadto, to od państwa pochodzi. Zasady tego drugiego konserwatyzmu są to te same, z których wychodzą wszyscy liberałowie, socjaliści, komuniści, rozchodzą się tylko we wnioskach. Podczas gdy tacy konserwatywiści perswadują, jak nasz autor, że pięknie atomom trzymać się kupy i "wyrażać myśl państwa", socjaliści wnioskuje sobie, że kiedy są atomami i przez rozsypanie się "ani fizycznie, ani chemicznie nie ulegną żadnej zmianie", to mało im na tym zależy, by w spojeniu "wyrażali myśl" a lepiej im się rozlecieć, niż tłoczyć się pod naciskiem spoistości. Ci ostatni mają za sobą siłę logiki tj. konsekwentność z tymi zasadami i mają siłę liczby, bo najwięcej gniecionych. Po stronie zaś owego konserwatyzmu na liberalnym gruncie, grupują się ludzie, którzy wyszli z liberalnych zasad i o innych pojęcia nie mają, naprowadzeni zaś zostali do konserwatywnych konkluzji, jedni stanowiskiem, drudzy desilluzją. Stanowiskiem, bo ktokolwiek stanął na szczycie, ten pragnie, żeby się pod nim nie chwiało. Takim konserwatystą ze stanowiska jest Bismark, takimi zostali Gambetta, Ferri itp. takim zostanie Clemençeau tego dnia, co zostanie ministrem.... Drudzy desilluzją, rozczarowaniem, przekonaniem się, że ostatnie wnioski liberalizmu prowadzą w bezdeń: takimi konserwatystami są Renan i wielu innych pisarzy z *Revue des deux mondes*, takim jest i nasz autor. Jedni i drudzy przyjęli, właściwie mówiąc, tylko konkluzje konserwatyzmu, zasady zaś tj. teorie istoty i pochodzenia prawa, władzy, państwa itd. mają, jak już powiedziałem, te same co liberałowie i socjaliści. I to jest ich słaba strona.

Do tego rodzaju konserwatystów zaliczyłem p. Masłowskiego, nie dla samego porównania posągu, ale że nieco niżej, chcąc poprzeć moralną tezę konserwatyzmu, nie ma innej broni jak pozytywistyczne słowa: "socjologia! porównawcza psychografia!" itp., ani innych powag jak "Bagehota, Comta, Lubocka, Darwina, Littrego, Spencera". Jakoż dalsze listy coś więcej nam o tym powiedzą; tymczasem wróćmy od dygresji do rzeczy.

W 5-ym liście zarysowuje się pojęcie liberalizmu. Najprzód historyczny pogląd. Szlachta powstała ongi z odpowiedniego naonczas podziału pracy między rycerskim a rolniczym zawodem. Kiedy najazdy ustały, przywileje szlachty stały się nadużyciem; wówczas liberalizm przeprowadził nie bez walki zasadę zrównania praw i urządził wyścigi konkurencji. Ale stąd się wytworzył jeszcze gorszy podział klas, bo uprzywilejowana arystokracja kapitału i tłum niewolników głodu. Zatem poczyna się na wszystkich polach reakcja, wychodzą

raz po raz ustawy wręcz przeciwne zasadom liberalnym. U nas jednak najmniej tej reakcji. "Nasze społeczeństwo znajduje się już dzisiaj w tym stanie, że ma liberalizmu za dużo, a nie za mało. Powodzenie żydów najlepszym tego dowodem. Zniszczony stan rolniczy, rękodzieła sprowadzone do fuszerki, miasta w upadku, nędza powszechna, oto są rezultaty stosowania u nas liberalnej słównej zasady: *laisser faire, laisser passer*, do wszystkich funkcji życia ekonomicznego. Wyuzdanie prasy, rozbudzenie anarchicznych skłonności, rozjątrzenie warstw jednych na drugie, zdemoralizowanie polityczne wszystkich – oto następstwa stosowania jej do wszystkich funkcji życia duchowego".

Stąd w 6-ym liście przechodzi autor do głównego żywiołu, w którym się liberalizm obraca – do prasy. Tu już jest w domu, i warto go słuchać.

"Zapewne jesteś, mówi on, wielbicielem swobody prasowej, bezbrzeżnej, nieskrępowanej niczym. Ta teoria jest dzisiaj jeszcze w modzie i ogół powszechnie ją wyznaje, bo mniema w swej również bezbrzeżnej naiwności, że krępowanie prasy, dajmy na to cenzurą, pozbawiać go może drogocennych myśli".

"My mamy jednak pod bokiem kraj, zamieszkały przez rodzonych naszych braci, a posiadających prasę podległą cenzurze. Wielkim okrzyczałbym Ciebie, gdybyś znalazł w Galicji, z którejkolwiek gałęzi wiedzy ludzkiej najdrobniejszą myśl, której by nie znano w Królestwie. Więc może w sercach będzie jaka różnica? Wielka nawet. Nie są tak zdemoralizowane, bo nie zaprawiano ich żółcią, nie karmiono paszkwilem. A wiesz dobrze, że paszkwil to jak fałszywy banknot: nie każdy odważy się go sfabrykować, ale mało znajdziesz takich, którzy dostawszy go przypadkowo w ręce, nie puszczą w dalszy obieg. My, dzięki swobodzie prasowej mieliśmy publiczne, przez władze tolerowane, fabryki tych fałszywych banknotów, a całe społeczeństwo zajmowało się zapewnieniem im kursu na towarzyskiej giełdzie".

Co więcej, "zechciej przeczytać kilku znakomitych psychiatrów, jak np. Maudsley'a, Lombroso, Polettiego etc. Z mozolnych i sumiennych ich badań dowiesz się, że znaczny procent zbrodniarzy wyucza się sposobu dokonywania zbrodni z dziennikarskich sprawozdań sądowych. Literalnie wszyscy galernicy, którzy czytać umieli, przyznawali się do tego, że zawsze z zapałem kultywowali literaturę sądowych spraw... Zresztą przypomnij sobie świeże dzieje: Francesconi miał kilku naśladowców, którzy się otwarcie przyznali, że projekt zaczerpnęli z dziennikarskiego opisu. Zgodzisz się więc zapewne ze mną, że mają rację wyżej wymienieni psychiatrowie żądać ustawy, zakazującej



opisywania mordów i zbrodni i ścieśniającej w sposób rozumny dzisiejszą bezgraniczną swobodę prasy w podawaniu sprawozdań sądowych. Jakąż bo ideę ustawa taka przytłumi? – Ideę zbrodni".

"Dałem Ci jeden przykład pospolitej demoralizacji, szerzonej przez prasę, ale podobnych mógłbym kilka podać, jak np. zachęcanie do gry loteryjnej; podniecanie chuci zmysłowych przez luźne opisy i przez ciągle wtajemniczanie publiczności w zakulisowe sprawy; przyzwyczajenie jej do lekceważenia czci i dobrej sławy bliźnich przez ciągle szafowanie paszkwilem, a tępienie w niej wiary w zacność i szlachetność przez podsuwanie ludziom, stojącym na widowni, najbrudniejszych motywów".

Wobec tego stanu rzeczy, p. Masłowski domaga się najśluszniej higieny umysłowej, oczyszczenia tej atmosfery z trujących miazmów.

"Jeżeli więc pracujemy, mówi, nad osłonięciem ciała ludzkiego od trucizn, to z równą racją obowiązkiem jest naszym ochraniać od nich ducha. Bo błędnym jest mniemanie, niestety dość rozpowszechnione, a nawet wprowadzone już do pedagogiki przez liberalów, że umysł ludzki ma przy całej swej wrażliwości jakąś metafizyczną bezwrażliwość na złe rzeczy. Mniemają popolicie, że lektura utworów prawdziwie pięknych i dodatnich podnosi i uszlachetnia człowieka, a złych (to jest złej tendencji) i demoralizujących zaszkodzić może tylko już skądinąd zepsutym ludziom. Publiczność chętnie w to mniemanie wierzy i powiada: «Ja się od tego nie zepsuję»".

"Owoż nieprawda. Trzeba bardzo rozumnego umysłu z jednej strony, a z drugiej trzeba jadu psychicznego podanego w bardzo ordynarny sposób, żeby rzeczywiście nie wywarł żadnego wrażenia. Tymczasem w życiu stosunek bywa najczęściej odwrotny. Fabrykant prasowego jadu postara się ukreć z niego pigułkę ponętą, a prostaczy umysł połknie ją i przyswoi sobie. Jak mało jest ludzi, którzy nie są zdania ostatniej przeczytanej prasy!"

Środkiem jednakże do przeprowadzenia tej higieny nie jest, zdaniem autora cenzura, ale – nowy i ciekawy pomysł – ordynacja regulująca zawód dziennikarski, tak samo jak aptekarski, adwokacki itp. i zamykająca wrota indywiduom bez moralnej i umysłowej wartości.

"Dziś, gdy już nie można kominiarzem zostać bez egzaminu i lat praktyki, gdy robią się usiłowania do zaostrenia ordynacji adwokackiej, dla puryfikacji tego zawodu; gdy na każdym kroku społeczeństwo przychodzi do przekonania,

że bezgraniczna swoboda i idąca z nią w parze konkurencja daje tylko premię złym pierwiastkom charakteru człowieka, dziś na serio wypada pomyśleć o organizacji zawodu dziennikarskiego i oczyszczeniu go z indywiduów, którzy dlatego tylko w nim znajdują przytułek, że żaden inny nie chciał ich do siebie przygarnąć".

Kiedy r. 1864 Pius IX potępiał w Syllabusie nieograniczoną wolność prasy, *plenam potestatem omnibus attributam quaslibet opiniones cogitationesque palam publiceque manifestandi* i twierdził, że takowa wpłynie na zepsucie obyczajów i skrzywienie umysłów *ad populum mores animosque facilius corrumpendos* (tez. 79) – przypomnijmy sobie jaka wówczas powstała wrzawa, której potężne echo i w Polsce wtórzyło! Jak krzyczano, że Papież targa się na najdroższy klejnot liberalnych zdobywcy, że broni ciemnoty etc. etc. Otóż dziś po 20 latach powtarza to samo, słowo w słowo, były dziennikarz i liberał z tą tylko różnicą, że czego się p. Masłowski dowiedział z doświadczenia, po gorzkich eksperymentach ludzkości i naszego narodu, to Pius wiedział i zapowiedział z góry i dedukcyjnie. Jak się słucha Papieża, trafia się od razu, dokąd innych po wielu nawrotach zawiedzie doświadczenie, i unika się kosztu eksperymentów. A to koszt wielki, kiedy idzie o narody.

Lecz idźmy dalej. Za wolnością nieograniczoną, pierwszą zasadą liberalizmu, idzie konkurencja jako środek zaradczy na możliwe wolności nadużycia. Autor wyklada doskonale tę teorię liberalną, na przykładzie fabrykacji sukna: konkurencja ta sprawia po kolei obniżenie ceny, podwyższenie dobroci towaru, udoskonalenie techniki i maszynierii, rozwój estetycznego smaku, nawet "podniesienie poziomu etycznego całej ludności"... W teorii ślicznie się to układa.

*Marzyłem cudnie; srodze mię zbudzono!*

Zbudziło brutalne doświadczenie, z którym nie masz dyskusji: *Rien de si brutal qu'un fait*. Pokazało się na wszystkich polach, że konkurencja innym idzie kierunkiem.

"W pierwszym rządzie obcina zarobek robotników fabrycznych, w drugim sili się na koncepta zastępowania właściwych produktów, tańszymi surogatami. Ideałem dla każdego fabrykanta będzie zawsze dostarczenie towaru tańszego, chociażby posiadającego tylko pozornie te same przymioty, co wyroby konkurencyjnej fabryki. W oczach jego będzie miał równą wartość wynalazek moralny, oparty na lepszym zużytkowaniu sił przyrody, jak i niemoralny,

wyzyskujący głupotę ludzką, – bo oba do jednego doprowadzą go celu... A oba wyzyskiwać będą w równej mierze pracę rąk ludzkich, zastępując mężczyzn kobietami i dziećmi, jako robotnikiem tańszym, obniżając im wszystkim płacę, a powiększając liczbę roboczych godzin".

"I dojdzie w końcu do tego, do czegośmy właśnie doszli, że wolność bezbrzeżna z swoją przeznaczoną konkurencją stworzy taką niewolę, jakiej nie znały czasy feudalne. Miejsce dawnej szlachty i duchowieństwa, reprezentujące pewne wzniosłe i moralne zasady, zajmie spanoszona burżuazja, na poły żydowska, reprezentująca tylko siłę brutalną kapitału, pozbawiona wszelkiej wyższej myśli, niemająca żadnych wzniosłych popędów, zmysłowa i ordynarna jak lud i goniąca tylko za zaspokojeniem swych chuci, tym silniejszych im w dłuższej były skrępowane niewoli. Za podszeptem tych chuci pójdzie sztuka, dobierająca sobie coraz bardziej zmysłowych tematów, aż ugrzęźnie w najbrudniejszym naturalizmie... A całej tej rozczyniającej działalności czarnych duchów nowoczesnej cywilizacji poda rękę burżuazyjne dziennikarstwo i dzień w dzień śpiewać będzie hymny na cześć trzech haseł mieszczańskiej rewolucji: tej wolności, która stworzyła nam religię złotego cielca, tej równości, która równą miarę przykładła do nierównych ludzi i tego braterstwa, którego milionowe armie są ilustracją"...

Cały ten 7-my list, równie jak poprzedni, napisany jest po mistrzowsku. W 8-ym ta teoria konkurencji aplikuje się do dziennikarstwa.

"Rozumowano ongi w rzeczach prasowych, podobnie jak w przemysłowych. Swoboda i idąca z nią w parze konkurencja – mówiono – wydobędzie na jaw uśpione talenta, ułatwi im możliwość rozwoju, geniuszom da premię przed miernotami i dla literatury, tak książkowej jak periodycznej, otworzy wiek złoty. Jakżeż fatalnie się zawiedziono! Wiemy już dlaczego, dzięki onej konkurencji, przemysł wypisał na swym sztandarze: «*schlecht aber billig!*». Popatrzmy teraz jak pod wpływem jej prasa skopiowała dla siebie to samo hasło... Swoboda prasy zrobiła to, że wydawnictwo czasopism periodycznych z aktu poświęcenia przekształciło się po zręcznym skombinowaniu z anonsami kupieckimi w akt geszeftowy. Rzucili się więc do niego ludzie, których nazwiska nie są zapisane w annałach literatury, pospolici przemysłowcy i dla geszeftu a nie dla propagandy jakichś myśli, opanowali ów gościniec, który swoboda prasy otworzyła dla literatów. Wszelako w intencji zrobienia dobrego interesu nie tkwi jeszcze nic złego... Ale niestety! jeżeli oni nawet mieli dobre intencje, to owa ukochana przez liberałów «konkurencja» nie dozwoliła ich zrealizować".

Tu p. Masłowski z dowodami w ręku przeprowadza arcyciekawy rachunek. Galicja posiada 7 dzienników, a 9200 osób prenumerujących. Z tych 2400 przypada na urzędową *Gazetę lwowską*, więc na każdą z tamtych przeciętnie 1133, co wraz z anonsami czyni miesięczny dochód 3300 do 3500 złr. Wydatki na papier, zecera, lokal itp., które się wcale nie, albo ledwie zdusić dają, wynoszą 2600 do 2900 złr. Zostaje więc dla redakcji zaledwie 700 złr. miesięcznie.

"Na tej przeto cyfrze odbija się wydawca w konkurencyjnej walce. Gdyby chciał zaangażować prawdziwych publicystów, ludzi wykształconych, z poważnymi studiami i z talentem, musiałby wziąć czterech, pięciu, sześciu i dać im przynajmniej po 200 do 300 złr. miesięcznej pensji; to znaczy tysiąc złr. dopłacić miesięcznie z własnej kieszeni. Bierze przeto jednego rutynowanego publicystę, dodaje mu cały zastęp studentów, którym płaci po 40 lub 50 złr. miesięcznie i wyrabia w swym prasowym warstacie towar niemający żadnej ani politycznej ani literackiej wartości".

"Uważaj jak na polu dziennikarskim powtórzył się ten sam objaw, któryśmy powyżej na przemysłowym widzieli. Fabrykanci pod wpływem konkurencji uciekać się poczęli do angażowania kobiet i dzieci, jako robotnika tańszego; wydawcy lwowscy robią to samo. Działkę angażują jako tańszą siłę roboczą i jej powierzają prowadzenie polityki. Ów artykuł *Gazety Narodowej* z pierwszych dni marca b. r. rzucający błotem w Koło polskie, a który wszystkie poważne umysły w kraju tak wysoce oburzył, wyszedł z pod pióra studenta uniwersytetu!...".

"Na tym nie koniec. Wyzyskiwanie pracy dziecięcej, skoro się stało ogólnym, praktykowanym we wszystkich prasowych warstatach, przestało rychło być tematem konkurencji. Taniość lichych felietonów, czy to oryginalnych, czy tłumaczonych, ma także swoją granicę. Praca nożyczek czyli przedrukowywanie innych pism nie da się również bezbrzeżnie stosować. Więc trzeba było wynaleźć coś innego do pokonania konkurentów".

"I wynaleziono schlebianie panującym prądom i dominującym wadom społeczeństwa. Na tym polu rozpoczęto wyścigi, wyprzedzając się nawzajem w admiracji dla anarchicznych skłonności i w paleniu kadzideł na ołtarzu ludowej nienawiści do wszelkiej władzy i wszelkiego rządu. Jak przemysłowcom pod wpływem konkurencji nie szło o estetykę ale o schlebianie gustowi publiczności, chociażby on był ordynarnym i nieestetycznym, podobnież

postąpili wydawcy dzienników; pod wpływem konkurencji szukali dla siebie premii nie w podnoszeniu literackim, socjalnym i politycznym swych pism, ale właśnie w dodawaniu im jak najwięcej przyprawy pieprznej lub stajennej"...

Powinszować musimy p. Masłowskiemu, że wybornie dowiódł swej tezy: mianowicie, że pomijając złość i niewykształcenie obecnych przywódców tromtadrackiej prasy, "sama sytuacja stworzona swobodą prasową jest taka, iż gdyby nawet byli oni jak najlepsi, mimo to poziom dziennikarstwa naszego stałby nieskończenie nisko".

W 9-ym liście znajdujemy *la contre-épreuve* powyższego dowodu: *Czas*, mówi p. Masłowski, jest jedynym z rzeczonych siedmiu pism, na którego nie padają powyższe zarzuty; nie stoi on na *geszefcie*, ale na ofiarności ludzi pragnących służyć krajowi, posiada wytrawne pióra, umieszcza gęsto wyborne artykuły, nie płynie z prądem opinii i namiętności, ale staje przeciwko prądowi, jego towar bywa tak dobry, że gazety lwowskie kradną go niemal codziennie i za swój sprzedają. A jednak firma *Czasu* najmniej popłaca, paszkwil nieustający ją zdyskredytował. Dowód najlepszy, że w konkurencji dziennikarskiej nie dobroć towaru zwycięża, ale taniość produkcji i pieprzność.

W tym samym jeszcze liście znajdujemy ważną rewelację: jak ta liberalna prasa nie tylko truje czytelników, ale marnuje i wypacza najznakomitsze talenta młodzieży, którą wciąga do swych kuźni, jak psuje ich obyczaje, otwierając im wstęp do kulis teatralnych. Rysuje się tu smutny obraz zdolnego i pełnego nadziei młodzieńca z uniwersytetu, który pierwsze zapały swej duszy wylewa w gorącym artykule; artykuł ten bez odczytania idzie w szpalty – "bo w redakcjach lwowskich nie ma zwyczaju, aby ktoś kontrolował i odczytywał oddawane do druku prace. Wieczorem już artykuł zrobił wrażenie w sferach kawiarnianych... Autor stał się na chwilę bohaterem – kawiarni"... A po kilku latach takiego życia w redakcji i za kulisami, już nie pytaj o talent, o zapał, tym mniej o wiedzę. Przekształcił się on w rzemieślnika prasowego, w cynizmie dojrzałego zupełnie, wolnego od wszelkich przesądów (to znaczy ideałów), biegłego niepospolicie w ocenianiu wartości pewnych patriotycznych frazesów i rzucającego nimi ręką saltymbanka; patrzącego na świat, jako na wielkie dziecko, goniące za bańką mydlaną; nienawidzącego i pogardzającego swego wydawcę i z tego względu żywiącego admirację dla teoryj socjalistycznych!

"I taka młodzież ma kierować społeczeństwem, nie mając najmniejszego o niej wyobrażenia.... Pytam Ciebie, czybyś człowiekowi nieposiadającemu odpowiedniej odrobiny technicznych wiadomości powierzył zbudowanie grobli w Twoim majątku, mostu na drodze powiatowej, młynu lub gorzelni? Czybyś lekarzowi, któryby z całej medycyny posiadał tylko kilka fizjologicznych przesądów i kilka admiracji do niektórych toksykologicznych formułek, powierzył pielęgnowanie Twego zdrowia? Do każdej gałęzi usług społecznych wymagasz ludzi odpowiednio wykształconych, bo słusznie rozumiesz, że tylko w takim razie praca sumiennie i pożytecznie wypełniona zostanie. Jedną tylko publicystyką ma stanowić wyjątek i ma się rekrutować bądź z indywidualistów, których inne zawody wyrzuciły z siebie, bądź z dziatwy, którą niesumienni spekulanci przynęcają do swych warsztatów zmysłowymi przyjemnościami zawodu dziennikarskiego"!

## II.

Ten proces liberalnego dziennikarstwa jest najlepszą, prawdziwie świetną częścią pracy p. Masłowskiego. W następujących trzech listach podejmuje on rozbiór "przesądów stanowiących korpus naukowy liberalizmu", mianowicie broni przeciw liberalnym doktrynom: Kościół, rodzinę i różnicę klas społecznych. Ale tu już idzie o tezy dodatnie, o zasady, a uczeń szkoły liberalnej, jakkolwiek "nawrócony" nie jest tu na swoim gruncie. Wypowie on nam jeszcze tu i ówdzie trafne spostrzeżenia, nawet głębokie uwagi, ale brak gruntownego rozumienia rzeczy, brak prawdy bezwzględnej wszędzie przebija; stanowisko, z jakiego na kwestie patrzy, jest – nie moje to ale jego słowo – stanowiskiem "zoologicznym", a wielkie instytucje, których broni, zdają się mu mówić: Przyjacielu, dzięki ci za dobrą wolę, ale – daj nam pokój.

W 10-ym więc liście jest mowa o Kościele. Autor zaznacza bardzo słusznie, że Kościół stworzył nowożytne społeczeństwo na gruzach starego świata i każe się przypatrywać jego potędze cywilizacyjnej w dziejach zbyt mało znanych średnich wieków. "Tymczasem liberalizm, mówi, idzie odwrotną drogą: dla niego początkiem wszelkiej mądrości stanu jest rok 1789". Wszystko co dawniejsze, godne w jego oczach nienawiści i zagłady. A że w Kościele natrafia główną podporę dawnego porządku, dlatego wydaje dekret, "że Kościół jest pasożytem społecznym" i usiłuje go zewsząd wykluczyć, wytępić, zniszczyć. Nauka znów ze swej strony, suponując, "że aspiracje religijne płyną z refleksyj rozumowych, czyli, że są następstwem umysłowej potrzeby

wyjaśnienia otaczających zjawisk", a czując się w sile wytłumaczyć takowe po swojemu, wydaje dekret, "że religia jest zbiorem przesądów".

Wojna więc toczy się zacięcie w politycznych i oraz w umysłowych szrankach: odbierają Kościołowi szkołę, czynności cywilne, bronią mu nawet dobroczynności; równocześnie obrzucają go zarzutami w imieniu nauki... Jednak w końcu liberalizm "oparzył palce", Kościół zamiast upaść, skupił się i spotęźniał. Skąd ta tajemnicza siła? dwie nauki dziś rozwiązały zagadkę. Psychologia odkryła, że religia nie jest płodem refleksji, lecz uczuciem wrodzonym duszy, więc zniszczyć się nie da. Socjologia zaś orzekła, że Kościół jest naturalnym rozkwitem tego uczucia w społeczeństwie, i "tak niezbędnym potrzebny w organizacji społecznej, jak religia w organizacji duchowej człowieka". Więc i Kościoła żadna siła nie wytepi.

Taki jest wątek myśli p. Masłowskiego, wątek zresztą nie nowy, bo wszystkim ludziom tej kategorii wspólny, czasem w książkach, a często w poważnych rozmowach przytaczany. Warto więc nad nim chwilę się zastanowić.

Mniejsza o pierwszy punkt, czy orkan r. 1789 dlatego na Kościół uderzył, że widział w nim podporę starego porządku, czy też odwrotnie, dlatego stary porządek do szczytu burzył, że w nim ślady dzieła Kościoła upatrywał. Z nierównie głębszego poglądu Leona XIII, który wyłożyłem w numerze marcowym, wynikałoby raczej to ostatnie. Ale to kwestia historiozoficzna; zostawmy ją na boku.

Ważniejsza nierównie kwestia o podstawie i źródle religii, którą autor porusza. P. Masłowskiemu się zdaje, że kiedy oparł religię na psychologii i podparł ją socjologią, to już ona stać musi jak mur pod Kowalewem – i w tym naiwnym przekonaniu odejmuje religii, bez jej szkody, jak sądzi, owszem na jej korzyść, refleksję rozumową. Gdyby religia była tylko snopkiem uczuć i afektów, zgoda; ale przecież te afekta religijne nie strzelają w próżnię. Kto się modli, kto ufa, kto się pociesza przyszłym życiem, ten musi myśleć o Bogu, o drugim życiu, musi wiedzieć, że jest Bóg i przyszłe życie. Słowem bez dogmatu nie ma religii. Dogmat zaś będąc uznaniem danej nauki za prawdę siedzi w rozumie, rozum z przyrodzenia reflektuje – brońże tedy religii od refleksji rozumowej!

Pojmuję, że p. Masłowskiemu trudno sobie wystawić, jak może religia w rozumie z refleksją się zmieścić. Ale tym co są wykształceni w umiejętności religii proporcjonalnie do wykształcenia w innych naukach zrozumieć to łatwo. Wierzą oni w dogmat, bo wiedzą rozumowo, że Bóg istnieje i wiedzą historycznie, że Bóg ten dogmat objawił. Religia jest u nich najpierw przekonaniem, a potem potrzebą; akty religijne są przede wszystkim obowiązkiem, a potem zadośćuczynieniem aspiracjom serca. Wstrzymam się od szerszego wyłuszczenia rzeczy, bo dopiero wyłożoną została w *Przeglądzie*, w artykule "Rozwój wiary"; ale zaznaczam, że pojęcie religii jako rzeczy samego uczucia stawia w powietrzu jej prawdę dogmatyczną, a to znowu podcina możliwość jej bytu w uczuciu, bo, jak powiedziałem, serce musi się spotykać z rozumem. Jest niezawodnie religia potrzebą serca, bo *signatum est super nos lumen vultus tui* – i jako taka objawia się w psychologii; jest potrzebą społeczną, bo "łatwiej, jak powiedział Platon, zbudować miasto w powietrzu, niż społeczność bez Bóstwa", i jako taka występuje w socjologii; jest potrzebą etyczną, potrzebą we wszystkich niemal kierunkach działalności ludzkiej. Ale przede wszystkim jest ona prawdą przedmiotową, i jako taka objawia się rozumowi. Gdyby zaś taką nie była, wszystkie pomienione potrzeby nie podtrzymałyby jej bytu. Rozum uznaje Boga nie dlatego, żeby sobie doraźnie wytłumaczyć "czemu deszcz pada i słońce świeci", ale dlatego, że ponad bezpośrednimi przyczynami, które od wieków zna, i dalszymi przyczynami, które dzisiejszą nauką odkrywa i jeszcze dalszymi, które kiedykolwiek z postępowaniem nauki odkryje, widzi wciąż konieczność przyczyny pierwszej, absolutnej – której mądrość i moc okazuje się, dowodzi się i w porządku przyrody i w porządku etycznym i w którąkolwiek stronę myśl ludzka się zwróci. Dlatego to nauka, tłumacząc coraz dalej i coraz głębiej przyczyny zjawisk, nie uchyla, nie oddala nawet tej konieczności Boga, lecz owszem tym silniej, tym widoczniej ją zatwierdza, bo tym więcej mądrości i mocy Jego odsłania.

Podobnie też pojęcie Kościoła, jako naturalny wytwór uczucia religijnego w sferze społecznej, jakkolwiek pozornie dla sprawy korzystnym, w zasadzie jednak jest mylnym. Przeczą mu nie tylko dogmata (o których teraz nie wspominam), ale nawet fakta dziejowe. Gdyby podług teorii tych panów, z uczucia wyrastała naturalnie wiara, a z wiary przy rozwoju społecznym wytwarzał się Kościół, wówczas widzielibyśmy w dziejach ludzkości pewną równorzędność postępu religii i Kościoła z postępowaniem cywilizacji: Kościół starego Egiptu przewyższałby o wiele synagogę, Kościół Jowisza kwitnąłby w



wieku Augusta. Po najazdach barbarzyńców podupadłby dogmat i Kościół w proporcji do cofnięcia się cywilizacji itd. itd. Tymczasem nic z tego w historii. W starożytności wrodzone uczucie religii przebija się wprawdzie wszędzie, przybiera nieskończone formy, omackiem szuka Boga, jak mówi św. Paweł, ale coraz więcej wykrzywia Jego postać. Aż tu nagle wpośród dziejów staje Kościół Chrystusowy z dogmatem, etyką, hierarchią i kultem *en bloc*, narzuca się z tym wszystkim, tak samo cywilizowanym Rzymianom, jak wpółdzikim barbarzyńcom; w czasie długiego upadku cywilizacji, ani dogmat, ani etyka, ani hierarchia, ani kult żadnej nie ulegają zmianie – i dziś, w XIX wieku, gdy czytam piśmienne pomniki czasów apostoelskich, zdaje mi się, że słucham u podnóża naszych ambon, albo że się modłę z ludem u stóp naszych ołtarzy. Doprawdy w Kościele jest coś więcej, jak naturalny tylko rozwój wrodzonego pierwiastka, jest interwencja z góry tego, co wieczne, niezmienne, życiodajne.

Kościół, jak słusznie dowodzi p. Masłowski, jest istotnie potrzebny społeczeństwu i państwu, nie na tej jednak potrzebie stoi, ale na fackie nadprzyrodzonym Boskiego ustanowienia i stąd dopiero ma moc kierowania umysłów, władania sercami i dźwigania społeczeństw.

Podobną dobrą wolę a więcej prawdy, znajdujemy w 11-ym liście: o rodzinie, bo tu w istocie grunt naturalny, autorowi przystępniejszy.

Najprzód słusznie zarzuca on liberałom, że burzą dla przyjemności burzenia, nie wiedząc co na gruzach postawią. Tak usiłują zwalić Kościół, nie myśląc czym się da zastąpić religia, tak też rozbijają rodzinę, której brak niczym by się nie dał wypełnić.

"Zapewne czują oni instynktowo, że dopóki tej fortecy nie wezmą, załogi w pień nie wytną, a murów z ziemią nie zrównają, dopóty ich panowanie uwieńczonym nie będzie. Dość, że oblegają ją nieustannie od stu lat, zakładają pod nią miny w postaci przeróżnych scenicznych wyrobów, dających się zszeregować pod generyczną nazwą «utworów szkoły konkubinatu», zdzierają z niej sankcję religijną, szturmują ze wszystkich stron, słowem, z nieustającą energią i wytrwałością pracują nad jej zburzeniem. Nie umiałbym jednak powiedzieć, czy dla ułatwienia sobie tej pracy i zapewnienia zwycięstwa wypisali na swym sztandarze hasło fałszywe, czy też w prostocie ducha sądzą, że właśnie w tym swoim haśle streścili jądro sprawy; to pewna jednak, że nie mówią, iż im idzie o rozbicie rodziny, ale o rozwiązanie kwestii małżeńskiej".

Czymże więc rodzina? "Rodzina nie jest ani kontraktem, ani inwencją czyjąś, ani instytucją czerpiącą swą moc z jakiegoś dekretu, ale produktem naturalnym... rodzicielskie uczucie zrodziło rodzinę". Bardzo dobrze tym razem – i dlatego też rodzina nie jest faktem *hors ligne* w dziejach ludzkości, jak Kościół, ale znajduje się zawsze i wszędzie, gdzie ludzkość, w stanie mniej więcej proporcjonalnym do stanu moralnej cywilizacji czasu i miejsca. Jedno tylko zrobię zastrzeżenie, że jak lot od skrzydeł a jednak skrzydła dla lotu stworzone, tak rodzina pochodzi wprawdzie z uczuć rodzicielskich, ale te uczucia dane są *a priori* od Stwórcy dla wytworzenia rodziny. Autor podobno tej celowości w utworach naturalnych nie odrzuca, skoro dodaje niżej, że "rodzina powstała dla wykształcenia uczuć progenitury".

Jakiż dalej przyrodzony cel rodziny? podwójny: najprzód, jak dopiero powiedziano, wychowanie, nie samo hodowanie ciała, nie tylko wypełnianie głowy, ale głównie wychowanie serca, w czym jest istota cywilizacji. Działwa "to zanadto wątpła roślina, aby społeczeństwo, jako całość, mogło się zająć jej hodowlą, zanadto delikatna, aby ją narażać na mroźne poddmuchy płatnych urzędników". Drugim celem rodziny, przechowanie tradycji. Bez tradycji każde młode pokolenie rzucałoby nawet społeczną na nowe eksperymenty, starsze pokolenie musiałoby się siłą opierać; stąd walki i zaburzenia bez końca.

"Tradycja zapobiega takiej dezorganizacji przez urabianie każdego nowego pokolenia na wzór i podobieństwo starego. Jest więc główną podstawą porządku, a przeto i głównym czynnikiem postępu...".

"Tak ważną więc instytucją, mówi dalej autor, w organizacji społecznej jest rodzina, tak święte jej zadanie i tak wielki z niej pożytek. Owóż małżeństwo jest tym jądrem czy ziarnkiem, z którego wyrasta rodzinna roślina... Podobnie przeto jak agronom otacza swą pieczę ziarno rzucone do ziemi nie dlatego, aby jakiś do niego specjalny czuł afekt, ale przez wzgląd na tę roślinę, co z niego wyrośnie; tak również nie przez żadną szczególną admirację do małżeństwa otacza je społeczeństwo najwyższą czcią i wyposaża przeróżnymi przywilejami, lecz jedynie przez wzgląd na tę tak cenną socjalną instytucję rodzinną, której ono jest zawiązkiem".

Dobrze powiedziane, zapomniał tylko autor o sankcji religijnej, która jeśli gdzie, to w małżeństwie jest niezbędną. Daremną wszelką "admiracją społeczną", na próżno "socjologia, jak mówi niżej autor, pragnie rozwód zupełnie wykluczyć, a nie chce rozwiązać nawet bezdzietnych stadeł, dlatego

aby nic z powagi i świętości małżeństwa nie uronić". Formułki naukowe, to trzcinowy płot przeciwko fali namiętności i egoistycznych interesów. Tu trzeba grobli sumienia i bezwzględności obowiązku, a tę tylko sankcja religijna położyć może. Dlatego Chrystus umocnił tę groblę świętością i łaską sakramentu: bo małżeństwo to węgielny kamień, na którym stoi rodzina, a na rodzinie społeczeństwo i wszystko.

"Owoż liberalizm, mówi znów autor, złożony z mnóstwa teoretycznych formułek, najczęściej wyrobionych przez adwokatów i ekonomistów, sądzi o wszystkim, co w życiu spotyka, jako o formułce, naturalnie starej, przeżytej, świecącej staroświecką powagą, ale wewnątrz pustej... W małżeństwie nie dostrzegł więc liberalizm rodziny, jeno afekt zmysłowy... Rozumiesz dobrze, że z tak fizjologicznej podstawy nie mógł innych, jak fizjologiczne wysnuć wnioski. Utworzył więc sobie zmysłową teorię o szczęściu w małżeństwie i zamknął ją fizjologicznym wnioskiem o rozwodzie, w razie jeżeli to szczęście nie powstanie, lub w chwili gdy wzajemna sympatia zgaśnie. Więc... gotów szafować rozwodem na prawo i na lewo, a ideał swój widzi w kontraktach terminowych".

Ideał ten ujawnia się nie tylko w prawodawstwie, kiedykolwiek skrajny liberalizm do steru przychodzi, ale też nieustannie w prasie codziennej i w powieściopisarstwie, a tym sposobem, mijając prawo, trafia od razu do obyczajów ludności – i dzieło rozkładu samo się dokonuje.

W 12-ym wreszcie liście zbija autor mrzonki liberałów o demokratycznym Eldorado przyszłości – i w tym ma zupełną słusność – lecz oraz przedkłada swą teorię o klasach społecznych, i tu jest zupełnie na fałszywym gruncie.

Liberalizm burząc gmach przeszłości, a czując że ludziom musi jakąś obiecywać przyszłość, bo "organizacja duszy naszej jest taka, że bez nadziei obejść się nie może", tę przyszłość buduje fantastycznie na ludziach. "Szlachta, mawia on, wypowiedziała już ostatecznie swoje słowo, nie wypowiedział go tylko lud. Ale gdy on wzmoże się w dobrobyt i podniesie w oświacie, wyrze głęboki i dodatni wpływ na społeczeństwo. Z tej rudy najszlachetniejsze wytopi nam przyszłość kruszce. Weksel ten wystawiony na imię ludu znajdziesz wszędzie; wystawia go każdy liberał, a publiczności, pragnącej mieć choć jakikolwiek haczyk do zawieszenia swoich nadziei, każe go żyrować".

"Ale któż jest tym ludem? pyta p. Masłowski: Lud, mówiąc po prostu, to chłop. Więc ta siermiężna istota, gorzej niż pospolita, bo brutalna w uczuciach, a w myśleniu nie wychodząca poza ciasny zakres konkretności, o dzikich rysach twarzy, rozwiniętych szczękach a płaskim czole, o przewodzie pokarmowym, przypominającym trawożerne zwierzęta, ma nam raj na ziemi stworzyć, najszlachetniejsze wytopić kruszce z swej rudy, byle tylko trochę obrosła w pierze, miała kurę w garnku według recepty Henryka IV i dyplom w kieszeni z ukończonych szkół normalnych?! – Jako liberał gotów jesteś oburzyć się na mnie za ten ton ironiczny".

– Nie, panie Masłowski, liberałem nie jestem; sądzę jednak, że ludu naszego nie znasz i przez fałszywe, bo darwinizmem zabarwione nań patrzysz okulary. Ale przejdźmy do dyskusji. Rozumowanie autora jest takie: liberalizm, obiecując złoty wiek w przyszłości demokratycznej, albo baśnie nianiek prawi, albo powinien przewidzenia swoje jakimś pozytywnym, umiejętnym dowodem uzasadnić. Ale "gdzież pozytywny punkt oparcia dla liberalnej teorii, iż ruda chłopska wytopi nam najszlachetniejsze kruszce? Ja go nie znam, mówi autor, a żaden liberał nie był tak otwartym, żeby zdradzić światu tę tajemnicę swej nauki". Póty wybornie. Dalej idąc, mógł autor wskazać, że kierunek jaki dziś bierze "oświata" nie zapowiada bynajmniej złotego wieku, że jak pójdzie świat dalej po tych samych szynach, mamy wszelkie powody przewidywania, że będzie jeszcze gorzej, że im dalej, tym więcej będzie nadużyć u góry, pauperyzmu u dołu, tym więcej będzie zgrzytu w maszynarii społecznej, mniej maści miłości i podniosłych uczuć itd.... Dowodzi tego "umiejętnie" (w sensie p. Masłowskiego) filozof Hartman. Jeszcze głębiej w rzecz wnikając, mógł autor logicznie udowodnić, że to co złowrogiego w kierunku dzisiejszej oświaty, pochodzi właśnie z pierwiastka liberalnego, który w niej siedzi, z zasad r. 1789, że ten zgubny impuls nadany jest prawodawstwu, szkolnictwu, organizacji pracy etc.... Taki wywód byłby głęboki, z ogólnym założeniem autora zgodny, ze wszech miar prawdziwy. Ale autor, któremu przetłumaczony Darwin jeszcze w głowie siedzi, porzuca ten grunt i traktuje sprawę ze stanowiska "zoologicznego".

Lud, mówi on, zdolny jest przyjąć w każdej chwili "w cieplarniach uniwersyteckich" wykształcenie umysłowe. Ale strona uczuciowa człowieka, na której głównie prawdziwa cywilizacja zależy, jest tej natury, że rozwinąć się nie może, jak tylko przez długi szereg pokoleń, na zasadzie ewolucji.

"Otóż uczucia ludu stoją jeszcze na bardzo niskim stopniu rozwoju. Weź wszystkie jego afekta, wyrażone w obyczajach i zwyczajach, w pieśniach, w stroju, w metaforach mowy, w stosunkach wewnętrznych rodzinnych, w ulubionych zabawach etc.; weź je jednak z własnych spostrzeżeń lub z relacji sumiennych badaczy, nie zaś z opisów poetycznych i powieściopisarskich, a przekonasz się, że w afekcyjnym życiu chłopa dominuje tak silnie brutalna zmysłowość, iż jedynie niepospolicie delikatną analizą zdołasz w akordzie najniższych popędów odnaleźć słaby i zaledwie początkujący ton wyższych pierwiastków...".

"Zatem chcąc przeprowadzić naukową klasyfikację, trzeba go pomieścić o wiele niżej od postaci typowego szlachcica, rozumiem postaci rysowanej przez etnologa, a nie ręką liberalnego karykaturzysty. I nic w tym dziwnego, owszem, odwrotny stan rzeczy byłby zagadką naukową. Wiekowe uprzywilejowanie musiało szlachtę wyrobić, stworzyć z niej, mówiąc zoologicznym językiem, rasę lepszą, szlachetniejszą, pełniejszą wyższych aspiracji; a wiekowe upośledzenie nie mogło znowu wpłynąć uszlachetniająco na psychiczny rozwój ludowej warstwy. Nie wybiegnę więc poza sferę naukowej ścisłości, gdy powiem, że minie długi szereg pokoleń, zanim lud dojdzie do tego stopnia wyszlachetnienia uczuć, na którym dzisiaj stoi szlachta".

Dwie rzeczy w tym rozumowaniu są do zauważenia: opis obecnego stanu ludu pod względem uczuć, i kwestia ewolucyjnego rozwoju uczuć.

Któż nie ma pretensji znać chłopa? każdy go co krok spotyka, widuje go niemal codziennie i stąd każdemu się zdaje, że może o nim sąd wydać ze znajomością rzeczy. Ale i trawę widzimy codziennie, każde dziecko wie co trawa. A jednak tylko botanik zna tajemnicę wewnętrznego życia tych kroci przeróżnych roślinek, które zbiorowo i ogólnikowo trawą nazywamy. Żeby sądzić o wnętrzu, nie dosyć widzieć po wierzchu i obserwować rozwinięcie szczyk i rzekomą płaskość czoła (2). Chłopa się co dzień spotyka, ale jakie się miewa z nim stosunki? każe mu się z drogi ustąpić; czasem targuje się z nim o chleb wiejski, o mleko na spacerze, o podwodę. Na tym miastowi ludzie, zwłaszcza literaci, swą znajomość z ludem kończą. Nie znam *curriculum vitae* p. Masłowskiego, ale na podstawie tego rozdziału, zaliczam go śmiało do takich znawców ludu. Chłopa znać może naprawdę tylko gospodarz, co na wsi siedzi i ludem z bliska i z miłością się zajmuje, i jeszcze lepiej kapłan, który we wszystkie stosunki jego życia wnika i wprost do jego duszy zagląda. Otóż ja w ten sposób, od środka znam nasz lud i powiedzieć mogę, że pod tą grubą

powłoką, wypieczoną słońcem i porysowaną od znoju, kryje się źródło uczuć, nawet podniosłych i delikatnych, którego p. Masłowski i *consortes* wcale się nie domyślają. Zwłaszcza gdy się cokolwiek nad ludem pracuje, o jakże prędko zbiera się wiano wdzięczności, poczucia obowiązku, wstrętu i wstydu względem nieuczciwości, prawdziwej pobożności, nawet ofiarności, wzorowej miłości w małżeństwie itd.... Ks. Antoniewicz patrząc na to z bliska w swych pracach apostołskich, nie umiał łez radości powstrzymać; każdy z naszych ludowych misjonarzy tego samego wrażenia doznał. Sienkiewicz, misternie szkicując uczucia ludu w swych nowelach *Szkice węglem*, *Za chlebem* itp. jest nierównie bliżej realnej prawdy o ludzie niż p. Masłowski udrapowany w swą "naukę suchą, zimną, poważną, a zoologiczną".

Myli się p. Masłowski, gdy mówi, że "w afekcyjnym życiu chłopu dominuje brutalna zmysłowość, stawiająca go w klasyfikacji zoologicznej o wiele niżej od postaci typowego szlachcica", bo zmysłowość w klasach wykształceńszych bywa więcej wyrafinowaną, a daj Boże, żeby nie była gorszą, więcej rozpowszechnioną, więcej dominującą w życiu, jak bywa u ludu. Myli się p. Masłowski, gdy mówi, że "ledwo kto zdoła w akordzie najniższych popędów u ludu, odnaleźć słaby i początkujący ton wyższych pierwiastków". Myli się mówię, bo nie znam w całej skali uczuć ludzkich tak podniosłego tonu, do którego bym akordu nie dobrał w sercach polskiego ludu. Myli się ogółem p. Masłowski twierdząc, że chłopu blisko do nabycia wiedzy, a daleko do wykształcenia uczuć, bo odwrotnie wiedzy mu tylko niedostaje i tego sposobu wyrażania i ukrywania uczuć, który się z wiedzą nabywa; same zaś uczucia wykształcił chrystianizm, który go od wieków wychowuje.

Skoro zaś tak mylnym jest założenie autora, to i teoria ewolucyjna temu założeniu podstawiona, chybioną być musi. Nie rozumiem zresztą jakim sposobem wobec tej teorii przyjmuje on dziedziczność w sferze afekcyjnej – kiedy żąda wielu pokoleń dla wykształcenia uczuć, a nie przyjmuje jej w sferze umysłowej – kiedy przypuszcza, że chłop równie prędko nabędzie wszelkich nauk, jak dziecię wysokich klas społecznych. Czy w jego "psychografii porównawczej" skonstatowano, że z dziedzicznej krwi serce, a z jakiejś obcej mózg się tworzy? Nie pojmuję również zastrzeżenia: "że ludowym uczonym brakować musi znamię genialności, iż nowych dróg nie wskażą nauce, a tylko stare potrafią konserwować". Przecież łatwo sprawdzić, że między geniuszami nauki, tymi właśnie co nowe drogi umiejętnościom wskazali, wielka część z najniższych wyszła warstw społeczeństwa.

Czyż nie byłoby stokroć lepiej, zamiast tego zoologicznego rozklasyfikowania szlachty i ludu i wniosków w części mylnych, w części przesadnych, które stąd autor wyprowadza, położyć raczej nacisk na to, że się szlachetne uczucia dziedziczą wychowaniem, uszlachetnioną atmosferą, która już kolebkę w zacnym domu otacza, i tą tradycją familijną, którą sam autor słusznie za przyrodzony cel rodziny wskazał? Czyż zamiast zwalać obniżenie moralne i estetyczne dzisiejszej inteligencji na to, że ona z ludu coraz więcej się rekrutuje, jak czyni autor pod końcem tego rozdziału, nie byłoby nierównie lepiej, prawdziwiej, głębiej, wskazać powód danego obniżenia w tym, że dzieci ludu wchodzą dzisiaj w sferę inteligencji, nie otrzymawszy żadnego moralnego ani estetycznego wychowania? Szkolnictwo dzisiejsze bierze ich dziećmi z ojczystej zagrody, gdzie pod cieniem wiejskiego kościółka serce ich mogło jako tako normalnie się rozwinąć; szkolnictwo zaś nie przejmuje na siebie obowiązku wychowania ich serca, ładuje tylko do głowy jałowe wiadomości – i tak anormalnie kształci się młodzian; umysł w nim się nadyma, serce karłowacieje lub dzikim porasta chwastem. Młody człowiek z lepszej rodziny przyszedł zwykle później do szkoły, przyniósł już jakiś zasób wychowania serca, a jeszcze w gimnazjum i na uniwersytecie dosięga go ciepły powiew domowego ogniska, w którym nie wygasły tradycje. Syn ludu przeciwnie, skoro się trzech słów po łacinie nauczył, już się czuje nieskończenie wyżej od nieumiejętnych rodziców; już jest na zawsze odcięty od wszelkiego wpływu rodzinnej strzechy. Szkolnictwo tymczasem, jak powiedziałem, nie wyręcza dla niego rodziny, społeczeństwo dokoła więcej trucizny niż pokarmu jego sercu podaje. Taka jest racja, czemu dziecko ludu ma nierównie więcej trudności, a mniej szansy wyjścia na męża wszechstronnie wyrobionego; taki jest prawdziwy powód tego przeciętnego obniżenia, które autor w poziomie cywilizacji postrzega i drastycznie omawia. Jednym słowem, racja ta tkwi w wychowaniu, a nie w dziedziczności podług Darwina pojętej.

Trzy ostatnie listy omówię nierównie krócej, bo są więcej politycznej, niż społecznej i zasadniczej treści. W 13-ym liście wytacza autor proces urzędowej *Gazecie lwowskiej*, że zamiast być szańcem konserwatyzmu w Galicji, zamiast tłumaczyć wciąż krajowi postanowienia i postępowania władzy, i zbijać dzień za dniem zarzuty i fałsze tromtadrackiej prasy, ona się tylko błąka po obcych nam krajach i kwestiach, pisze dzień za dniem "O Mahdim" i "Jeszcze o armii Mahdiego", i dlatego też nie budzi w kraju interesu i nie zdobywa wpływu. *Penes auctorem fides*: nie naszą jest rzeczą wdawać się w ten osobisty proces *Gazety lwowskiej*.

W 14-ym liście wraca p. Masłowski do kwestii anarchizmu: wskazuje jego początki w naszej historii; stąd przechodząc do dzisiejszego parlamentaryzmu, szkicuje go tak trafnie, że znów mię korci przytoczyć ten ustęp żywcem:

"Parlamentarne założenie jest, że istnieje większość, mniejszość, rząd z większości wybrany i na wierzchu Korona, bierna, nieprowadząca polityki na własną rękę i postawiona na to tylko, aby dawać rządowi dymisję, gdy arytmetyka parlamentarna przeciw niemu przemówi. Szablon taki wykrojony jest z pomysłu angielskiego... Lecz Europa wzięła tylko z niego ujemną stronę i zastosowała ją u siebie w chwili, gdy runął gmach derewolucyjnego społeczeństwa i kiedy przeto z natury rzeczy powstać musiała zasadnicza różnica programów między liberalnym stronnictwem burzącym a konserwatywnym, stojącym na stanowisku tradycji. Więc kiedy w Anglii między większością a mniejszością jest zawsze tylko różnica w odcieniu, i że tak powiem w temperamencie, a za to wspólny grunt historyczny, wspólne tradycje, wspólne zasady, dążenia i nawet metoda; to w Europie jedno stronnictwo prowadzi swą genealogię od pierwszych niemal wieków chrześcijaństwa, drugie od 1789 r.; jedno myśli o budowaniu na podstawie historycznej, drugie o burzeniu tego wszystkiego co właśnie ma historyczną przeszłość, od herbów aż do tytułów ludzkich i nazwy ulic, od zwyczajów aż do instytucyj. Na polu społecznym nie mają one między sobą tak dalece nic wspólnego, że stoją wobec siebie nie jako dwa czynniki, uzupełniające się nawzajem, ale jako dwie antytezy, nawzajem się znoszące, jako barwa biała i czarna, dające w syntezie szarą, jako ziemia i woda, dające w syntezie – błoto...".

"Płynąca stąd pstrokatość dziejów może swój *pendant* znaleźć jedynie w bezgranicznej admiracji liberałów dla rzeczy tak grubej, brutalnej i bezmyślnej jaką jest parlamentarna cyfra. W państwie kilkudziesięciomilionowym 169 głosów oświadczyło się za rządem, a 174 przeciw, stąd racja do zmiany systemu, burzenia wszystkiego co wzniesli poprzednicy, a fabrykowania nowych ustaw i nowych instytucyj na nowym kopycie. Żeby jednak cały ten bezsens ogarnąć i w bezdeń jego zajrzeć, musisz przypomnieć sobie ten socjalny aksjomat, że każda nowa ustawa jakkolwiek drobnej dotykałaby rzeczy, naraża mnóstwo prywatnych interesów na szwank, znosi tysiące egzystencyj, a tysiące na inne popycha tory. I dlaczegóż powstaje takie jeneralne zamieszanie w życiu państwa? Czy zrodziła je jakaś myśl wyższa, jakaś wyzwolona z utajenia energia, jakaś wielka społeczna potrzeba? Nie,



bynajmniej, kilkadziesiąt milionów obywateli żadnej zmiany nie pragnęło. Zrodziła ją tylko arytmetyczna reguła, powiadająca, że od 169 niepodobna odjąć 174, *ergo* trzeba wszystko wywrócić".

Taki jest ogólny pogląd p. Masłowskiego na parlamentaryzm. Prasie zaś liberalnej galicyjskiej, której się zdaje, że pod rządem parlamentarnym jej obowiązkiem jest wiecznie oponować, daje p. Masłowski dwie wyborne lekcje. Najprzód przestrzega ją, że ten idealny jej szablon nie da się ryczałtowo do Austrii stosować, bo "mamy w Austrii czynnik, który choć cośkolwiek łagodzi nedorzecznosc parlamentaryzmu, czynnik poważny, dodatni, na organicznej tradycji oparty, a więc pełen organicznej myśli i tendencji, tj. Koronę, która nie tylko jest polityczną, ale i socjalną zarazem instytucją, bo czerpie swą siłę z społecznej potrzeby, a nie z jakiegoś politycznego plebiscytu". Skąd wynika, że pozyskanie zaufania Korony więcej dla nas znaczy, niż nawet chwilowy w parlamencie tryumf.

Po drugie, przestrzega także autor, że co innego krytyka, co roztrząsa przedmiotowo czyny i powody, krytyka godziwa i dodatnia, co innego zaś napaść. "Nasza prasa, mówi autor, nie zna krytyki wcale, zna jeno napaść zjadliwą lub bezmyślną apologię, z tym dodatkiem, że tych, których dzisiaj uwielbia dlatego, iż idą w wytkniętym kierunku, obrzuci jutro błotem. Występować przeciw krytyce, będącej przedmiotowym rozbiorem byłoby nedorzecznoscia, ale znowu jest niesumiennością sprzedawać pod jej etykietą towar, który nawet jej surogatem być nie może, gdyż nie posiada żadnego z jej przymiotów, jak np. przedmiotowość, znajomość gruntowna sprawy, respekt dla instytucji czy osoby etc."

To wszystko pełne prawdy i praktyczności. Nie tak zupełnie zgodzić się można na pojęcie organizacji społecznej czyli państwa, które autor w ostatnim liście rozwija. Z tych dwóch kartek trudno nam ostatecznie o teorii autora sądzić, o ile jednak z rzuconych tu i ówdzie zdań wnosić można, ideałem jego jest państwo bismarkowskie, prawem państwa podług niego jest wszystko po swojemu regulować i organizować, jak daleko w tym korzyść swą upatrzy, podstawą zaś bytu państwa, jest łożenie w ofierze indywidualizmu a otrzymanie w zamian tej ofiary "nieobliczonych korzyści" państwowej organizacji. W tym wszystkim czuć zapach kontraktu społecznego Russa. Niepodobna mi w tym sprawozdaniu, i tak już za długim, wdać się w dyskusję z autorem o teorię państwa. Ale wracając do tych dwóch stronnictw, które sam tak pięknie w 14-ym liście określił, "jednego co prowadzi swą genealogię od pierwszych

wieków chrześcijaństwa, drugiego od 1789 r." powiem mu tylko, że jego pojęcie państwa datuje się właśnie z r. 1789, ówczesnych mędrców jest pomysłem i ideałem, stronnictwo zaś datujące się od początku chrześcijaństwa (do którego i autor chciałby należeć) inne ma, bez żadnej wątpliwości, o państwie zdanie: władzę mu przypisuje z góry, a jednak tej władzy ciaśniejsze i stanowcze stawia granice; jednostkom zaś i rodzinom przyznaje prawa, których zbiorowej woli nie godzi się przekroczyć, choćby nawet w interesie ogółu.

W tym rozdziale więc jak w poprzednich nie dopisuje część pozytywna; ale za to wyborną jest jak zawsze część krytyczna. Jakże świetnym zwłaszcza kończy autor ustępem o dobrobycie i oświacie! jak doskonale dowodzi, że dobrobyt nie jest lekarstwem, lecz objawem zdrowia, niby świeżą cerą społecznego organizmu, tudzież, że oświata nie jest żadną magiczną potęgą co by za wszystko starczyć mogła, ale tylko jednym i nie najważniejszym z cywilizacyjnych środków, "gwoli któremu nie godzi się zaniedbywać sprawy stokroć ważniejszej, prawdziwej pracy organizacyjnej, polegającej na wyrobieniu i rozwijaniu socjalnych popędów, a na tępieniu anarchicznych skłonności, tak jeszcze silnych w naszym społeczeństwie, a znoszących nawet wszystkie te korzyści, jakie moglibyśmy wyciągnąć z uczuć patriotycznych, niezaprzeczenie mocno w nas rozwiniętych".

Kończąc ten rozbiór broszury p. Masłowskiego przypominamy sobie, co św. Justyn, filozof męczennik, mówił do pogańskich mędrców swego czasu: Znacie jedną stronę Słowa, ale do nas chrześcijan musicie przyjść po drugą: tak dopiero umiejętność całego Słowa osiągniecie. Otóż i my przyznajemy i winszujemy p. Masłowskiemu, że zdobył własnym doświadczeniem sporą część prawdy. A nie samym doświadczeniem ją zdobył, lecz oraz dobrą wiarą i głębszym zastanowieniem się nad rezultatem doświadczeń. Bez tych dwóch warunków i doświadczenie bywa płonne. Witamy prawdę skądkolwiek pochodzącą i jakkolwiek niezupełną, bo w niej zawsze z Justynem św. część Słowa uznajemy. Cieszymy się zwłaszcza, kiedy ktoś, jak w niniejszym przypadku, drogą indukcji i doświadczeń przychodzi do tych samych wniosków, przy których my od dawna, na mocy dedukcji z zasad, stoimy, bo prawda nie może się świetniej zatwierdzić, jak kiedy dowody z dołu idące spotykają się z dowodami z góry w jednej afirmacji.

Ale uznając w ten sposób zasługi autora, pozwalamy sobie powiedzieć jemu i wielu innym podobnie myślącym, że to dopiero część prawdy co zdobyli,

że to jeszcze nie zasady jak im się zdaje, ale konkluzje konserwatyizmu, a katolicyzmu dopiero rąbek. Chcąc zaś zrozumieć same zasady i poznać całe Słowo, powinni sięgać poza Darwinem, Lubockiem i Spencerem, poza najnowszą psychologią i socjologią, aż do źródeł tego wielkiego stronnictwa, które jak rzekł sam autor, prowadzi swą genealogię od pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Część prawdy, którą dotąd zdobyli, gdyby na niej mieli poprzestać, na nic się nie zda, bo jak w toku rozprawy wskazałem, nie ma w niej jeszcze warunków żywotności; ale przyda się ona bardzo, jeśli będzie pierwszym krokiem do dalszego pochodu, szczeblem do wzniesienia się wyżej. A więc – w tym treść mej rzeczy i tym życzeniem kończę – *Amice, ascende superius*.

*X. M. Morawski.*

---

Artykuł z czasopisma "Przegląd Powszechny", Rok pierwszy. – Tom III (lipiec, sierpień, wrzesień 1884), Kraków 1884, ss. 1-29. (a)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono; ilustracje od red. *Ultra montes*).

### **Przypisy:**

(1) *Listy do przyjaciela*, przez Ludwika Masłowskiego. Lwów 1884.

(2) Autor, który tak szafuje słowami "nauka", "zoologia" etc., powinien by był w przypisku wymienić, który to zoolog albo antropolog skonstatował, że nasz chłop ma przeciętnie więcej pochylone czoło, niż nasza inteligencja. Zresztą byłoby to niezgodne z jego teorią, że chłop się równie prędko w naukach wykształci, tylko uczuć mu brak.

(a) Por. 1) Ks. Marian Morawski SI, a) [Filozofia i jej zadanie. \(Wydanie trzecie\)](#). b) [Kilka słów o książce "Filozofia i jej zadanie". \(Polemika z ks. Stefanem Pawlickim CR\)](#). c) ["Spowiedź" Lwa Tolstoja](#). d) [Podpieracz katolicyzmu](#). e) [Recenzja "Bez dogmatu" Henryka Sienkiewicza](#). f) [Klasycyzm w szkołach średnich](#). g) [U stóp Sfinksa](#). h) [Rzym – Koloseum. \(Wrażenia z podróży\)](#). i) [Narodowość wobec filozofii i wobec chrystianizmu](#). j) [O ofierze Serca Jezusowego w Najświętszym Sakramencie](#). k) [O nabożeństwie do Najświętszego Serca Jezusowego w stosunku do dogmatu i kultu katolickiego](#). l) [Dziewięć nauk o Sercu Jezusowym, jako Sercu Kościoła](#). m) [O Kościele jako znaku, któremu się sprzeciwiają](#). n) [Świętych Obcowanie. Część pierwsza: Komunia między duszami](#). o) [Wieczory nad Lemanem. Co robić](#). p) [Słowo prawdy](#). q) [Asemityzm. Kwestia żydowska wobec chrześcijańskiej etyki](#). r) [Dogmat łaski. 19 wykładów o porządku nadprzyrodzonym](#).

- 2) a) [Mały katechizm o Syllabusie.](#) b) [Mały katechizm o Nieomyślności Najwyższego Pasterza.](#)
- 3) Henryk Hello, a) [Nowoczesne wolności w oświeceniu encyklik. Wolność sumienia – wolność wyznania – wolność prasy – wolność nauczania.](#) b) [Syllabus w wieku XX.](#)
- 4) Abp Emil Guerry, [Kodeks Akcji Katolickiej.](#)
- 5) Ks. Walenty Gadowski, [Nauka Kościoła. Wybór orzeczeń dogmatycznych Kościoła katolickiego i jego praw kanonicznych.](#)
- 6) "Obrona prawdy", [Wypis z Okólnika wydanego do Archidiecezji Kolońskiej.](#)
- 7) Ks. Edward Podolski, [Pius IX i Leon XIII.](#)
- 8) Bp Jan Chryzostom Janiszewski, [Encyklika Leona XIII Papieża o masonii.](#)
- 9) Ks. Józef Gliwa SI, a) [O czytaniu gazet.](#) b) [O kwestii żydowskiej.](#)
- 10) Ks. Antoni Langer SI, a) [Rozwój wiary.](#) b) [Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów.](#) c) [Św. Tomasz z Akwinu i dzisiejsza filozofia.](#)
- 11) Bp Władysław Krynicki, a) [Dzieje Kościoła powszechnego.](#) b) [Pelagianizm i semipelagianizm.](#) c) [Sobór Watykański.](#) d) [Zasady modernizmu.](#)
- 12) Ks. Jacek Tylka SI, a) [Dogmatyka katolicka.](#) b) [Traktat o Kościele Chrystusowym.](#) c) [O obojętności, czyli indyferentyzmie w rzeczach religii.](#) d) [O własnościach religii.](#) e) [O cnotach heroicznych.](#)
- 13) Ks. Maciej Sieniatycki, a) [Apologetyka czyli dogmatyka fundamentalna.](#) b) [Zarys dogmatyki katolickiej.](#) c) [System modernistów.](#) d) [Modernistyczny Neokościół.](#) e) [Problem istnienia Boga.](#) f) [Modernizm w książce polskiej.](#) g) [Główne zasady etyki Kanta a etyka chrześcijańska.](#)
- 14) Bp Michał Nowodworski, a) [Wiara i rozum.](#) b) [Liberalizm.](#)
- 15) Ks. Antoni Martinet, *Filozofia katechizmu katolickiego.* a) [Religia katolicka obdarza swoich wyznawców największym dobrem w tym życiu.](#) b) [Dwa środki ważne, za pomocą których można położyć koniec wszystkim zarzutom przeciw religii katolickiej.](#)
- 16) Św. Augustyn, Biskup Hippony, [Wyznania \(Confessiones\).](#)
- 17) Kard. John Henry Newman, [Wyznania konwertyty.](#)
- 18) Ks. Dr Fryderyk Klimke SI, a) [Religia i poznanie.](#) b) [Hasła etyczno-religijne monizmu.](#)
- 19) Ks. Aleksander Lakszyński, [Masoneria i karbonaryzm wobec zdrowego rozumu i społeczeństwa podług własnych słów masonów, oraz w pracy niniejszej cytowanych a na jej końcu przytoczonych źródeł niewątpliwych.](#)

(Przyp. red. *Ultra montes*).

# PRZEGLĄD POWSZECHNY.

— — — — —  
Błogosławiony lud, którego Panem  
Bóg jego. Ps. 1:3.

ROK PIERWSZY. --- TOM III.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1884.

— — — — —

KRAKÓW.  
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,  
pod zarządkiem Jana Gałowskiego.  
1884.

( [HTM](#) )